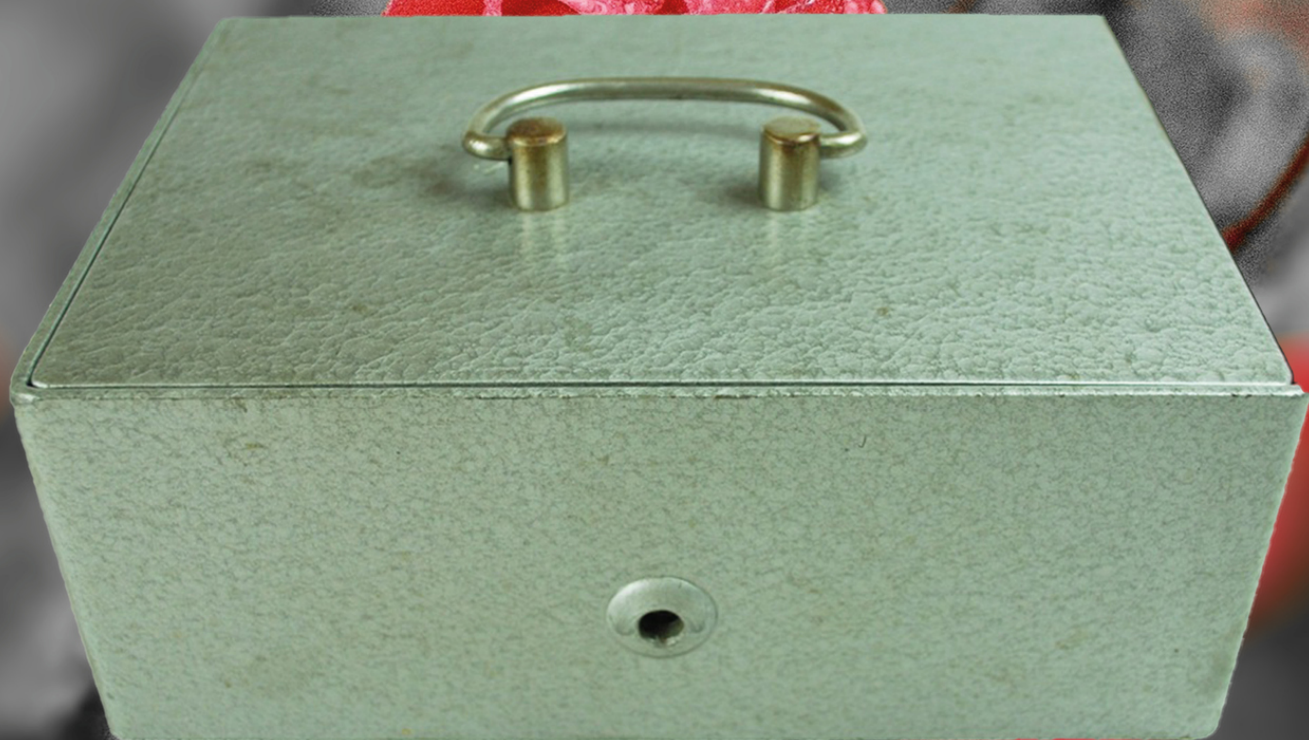




**HELENA
SEKUŁA**



**SIEDEM DIABŁÓW
DZIADKA OSIORNEGO**

Helena Sekuła

SIEDEM DIABŁÓW DZIADKA OSIORNEGO

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-16-8

Copyright © Helena Sekuła

Projekt okładki: Marcin Labus

Z zamroczenia otrzeźwił go ból; tępy, rwący ból śródstopia, rozsadzający kostkę i promieniujący wzdłuż goleni. Uniósł głowę – karuzelą przetoczył się horyzont. Wlepił oczy w jeden punkt, trwał tak w bezruchu, widnokrąg zafalował i nareszcie znieruchomiał, miedziany księżyc znowu wisiał nad dachem domu, kremowe ściany zdawały się świecić, szpaler tui rzucał widmowe cienie, za nimi majaczyła siatka parkanu.

Dopiero teraz dotarła do niego oszałamiająca woń maciejki i ciężki, przesłodzony zapach róż i dopiero teraz spostrzegł, że leży wśród połamanych krzewów, zmiażdżonych pysznych kwiatów, a ciernie gałązek ranią mu ręce, drapią twarz.

Jak długo tak leżał bez czucia? Ze świadomością powrócił strach. Uciekać! – łomotało w mózgu. Dźwignął się na łokciach, rozejrzał, cały zamieniony w słuch. Tylko jedno okno parteru, okute kratą w kształcie sieci pająka, zaciągnięte gęstą zasłoną, nadal rozjaśniał słaby, pomarańczowy blask.

Dom zdawał się uśpiony, w ogrodzie panowała sielska cisza, z oddali niósł się stłumiony szmer z rzadka przejeżdżających samochodów.

Zebrał się w sobie, jednym wyrzutem ramion i podciągnięciem tułowia wyswobodził się z kolczastych gałązek i wywłókł obolałe ciało na żwirową ścieżkę. Okupił to paroksyzmem napierającego bólu, lecz nie wydał jęku. Ogarnęła go słabość bliska omdlenia, więc odpoczął chwilę, potem już poruszał się ostrożnie, wsłuchany w siebie; nareszcie dopełznął do żywopłotu.

Zatrzymał go narastający odgłos motoru. Przy krawężniku stanął samochód; mężczyzna przecisnął się między dwoma krzewami i znieruchomiał w zagłębieniu pod siatką. Osłaniały go gęste, zielone łapki tui. Trzask drzewczek, dźwięk uruchamianego silnika, zacichający warkot oddalającego się wozu, kroki na chodniku. Kobięcy głos:

– O! Jaki zabawny pies, siedzi jak na warcie... Chodź, piesku, nie bój się...

Głos mężczyzny odpowiadający coś w niezrozumiałym języku.

Trzaśnięcie furtki, skrzyp żwiru na ścieżce; mężczyzna ukryty za żywopłotem wstrzymuje oddech. Na wyciągnięcie ręki mija go para ludzi, rosły mężczyzna i dziewczyna omotana szyfonowym szalem. Lekki wiatr zarzuca jego kraj na gałązkę krzewu, dziewczyna przystaje, wypłtuje frędzle, pochyla się – przy tym księżycowa poświata osrebrza jej rozsypujące się na ramiona długie, proste włosy.

Za tujami człowiek rozpląszcza się, zamiera w swej niepewnej kryjówce, pragnie wtopić się w ziemię.

Przeszli; cichnący chrzęst żwiru, odgłos otwieranych i zamykanych drzwi – cisza. Mężczyzna pod parkanem bierze głęboki oddech, wypelza na ścieżkę, wreszcie dźwiga się i, czepiając siatki, dociera do furtki. Ostrożnie zamyka ją za sobą i wlecze się chodnikiem – wokół żywej duszy, wśród koron drzew przeblaskują latarnie.

Przystaje, gdy jest już w przyzwoitej odległości od domu w różanym ogrodzie. Wtedy dopiero ściąga z dłoni rękawiczki, z kieszeni dobywa gwizdek, podnosi do ust, jednak żaden dźwięk nie maćci ciszy...

Skądś wynurza się ciemny kształt, bezgłośnie biegnie wielkimi susami. Duży pies osadza się tuż przed mężczyzną, wpatrzone w niego dwa opale – cichutki, zdławiony pisk szczęścia. Człowiek chwilę majstruje przy obroży, potem sprawdza zapięcie klamry.

– Aza! Idź do domu, prędko idź do domu! – nakazuje dobitnie; pies znowu skomli cicho i tak samo jak się pojawił, oddala się bezszelestnie, niknie w cieniu drzew, którymi wysadzona jest ulica.

Mężczyzna brnie dalej. Kończy się willowa uliczka łagodnie opadająca ku skarpie, jedna z tych zacisznych uliczek górnego Mokotowa, enklawa zieleni i spokoju prawie w sercu Warszawy. Mężczyzna skręca w przecznice. Tu już nie ma parkanów, tylko zwarta zabudowa. Wlecze się pod górę Belgijską, ciągnąc za sobą bezwładną jak kloc nogę. Widzi,

jak spuchła, ma wrażenie, że zaraz pęknie na niej skóra, ale pewno dzięki temu obrzękowi mniej boli.

Blednie już krótka czerwcową noc, gdy dociera do Puławskiej i budzi na postoju szofera jedynej taksówki. Z ulgą opada na siedzenie; odgrodzony od świata szybą wozu, czuje się wreszcie bezpieczny.

Martwa kobieta, ubrana w jedwabną piżamę, z nienaturalnie opadniętą na piersi głową, wpół leży na fotelu; nie ma śladów krwi, tylko poniżej nasady włosów, mniej więcej między pierwszym a trzecim kręgiem, znaczy szyję ciemnosiną pręgą; miejsce ciosu, który prawdopodobnie zmiażdżył stos pacierzowy i przerwał rdzeń.

W pokoju nieład; szukano tu czegoś gorączkowo i w panicznym pośpiechu. Ale co zrabowano?

Ubranie i bielizna, wygarnięte ze ściennej szafy, walają się na podłodze, obok kilka podartych książek z poszarpanymi okładkami. Na to wszystko rzucono trzy damskie torebki, rozwarte, puste. Jakies drobiazgi rozsypane na podłodze, a wśród nich, między zmiętą bielizną osobistą kawałki pociętych gazet; złożyłem z tego dość gruby plik i wtedy spostrzegłem, że wszystkie są jednakowego formatu – mają kształt prostokąta, zupełnie jak gdyby przycięto je introligatorską gilotyną.

Pod ścianą tapczan zasłany jak do snu, ale pościel nie tknięta, widocznie mieszkanka tego pokoju nie zdążyła się położyć. Obok, na niskiej półce ceramiczna lampa z abażurem z różowego jedwabiu, szklanka napełniona zielonkawym płynem, białe draże w szklanej tubce, jeszcze jakieś flaszeczki z lekarstwami. Na stole napoczęta butelka koniaku i samotny kieliszek.

– Napar szalwii – Leszek Biernat wacha zieloną ciecz w szklance, potem ostrożnie umieszcza ją z powrotem na dawnym miejscu.

Stałem przy drzwiach, aby nie przeszkadzać chłopakom w oględzinach, a równocześnie chciałem widzieć ich wszystkie czynności; nie, żebym nie miał zaufania do umiejętności kolegów. To był wysoko wykwalifikowany i zgrany zespół, mogłem być spokojny, że niczego istotnego nie przeoczą; ja jednak będę prowadził tę sprawę i mnie będą rozliczać z wyników.

– Może z tego da się znów złożyć gazetę? – technik badał sposób łamania kolumn na zadrukowanych kawałkach. Uderzyło go ich podobieństwo.

Udało się; wyszedł nam z tego egzemplarz „Życia Gospodarczego”, tyle że bez rozkładówki. Natomiast pierwszą stronę skompletowaliśmy wraz z tytułem i datą prawie w całości. Numer pochodził z dziesiątego stycznia. Lecz rzeczą najcenniejszą był nie tytuł i nie data, tylko mały skrawek banderoli, jakimi zwykle okleja się prasę rozsyłaną przez urzędy pocztowe; na takiej opasce umieszcza się nadruk z adresem i nazwiskiem abonenta.

Szczęśliwym trafem strzęp tego opakowania, z wyraźnym numerem pocztowego kodu, zachował się na gazetowym wycinku.

0230 815 – odczytał Leszek Biernat.

Technik przygotował do fotografii twarz zabitej, skinął na fotografa. Strzelił flesz.

– Gotowe – uniósł dłoń w przejrzystej rękawiczce, potem ostrożnie zdjął pierścionki z palców zmarłej; zgodnie z kanonem mody miała je na wskazującym i środkowym palcu lewej ręki, prawą zdobiły także dwa, tylko nałożone – jeden za drugim – na serdeczny palec.

– Srebro – technik przelotnie zerknął na próby.

– Dlatego nie skusił się na nie mor... – Leszek Biernat podrzucił na dłoni jeden z pierścionków i urwał wpół słowa; jeszcze raz zrobił to samo, potem uważnie przyjrzał się oczku. Teraz ostrożnie obrócił pierścionek, ukośnie podstawiając kamień pod słoneczny promień; gwizdnął przeciągle i podskoczył do okna. Zanim zorientowałem się, co chce zrobić, pociągnął tym oczkiem po szybie. Rozległ się zgrzyt, na szkle pozostała matowa rysa.

– Srebro, ale co w srebrze! – zatriumfował Biernat. Podał mi pierścione i szkło powiększające. Zwielokrotnione soczewką, ostre, wielokątne szlify były nienaruszone, załamywały światło i promieniowały bladym, zimnym lśnieniem.

– Brylant – położyłem pierścione. Wyjąłem Leszkowi z rąk następny, z prostokątnym rubinowym oczkiem. – Zostaw to rzeczoznawcom, nie wszystkie szlachetne kamienie można próbować na szkłe.

– Grzegorz, nie ucz ojca... – obruszył się Leszek. – Sprawca obciął się na tej srebrnej oprawie, podobnie jak kolega...

– Nie mam czasu na zabawę – mruknął urażony technik. – Tę twoją rewelację i tak odkryto by w laboratorium.

– Grzegorz nie dałby tych pierścionków do laboratorium.

Leszek miał rację, gdyby nie jego spostrzeżenie, nie przekazałbym ich do badania, bo i po co?

Pokój mieścił się na piętrze; balkonowe drzwi wiodły wprost na taras. Oba oszklone skrzydła zastaliśmy otwarte. Tuż przy mosiężnej klamce jedna klatka szyby była rozbita, ale ani w pokoju, ani na tarasie nie znaleźliśmy nawet okruszyny szkła.

– Fachowa robota – ocenił Leszek. – Szyba wygnieciona na lepik!

– Żadnych linii papilarnych – technik badał zmatowiałą od argentoratu rozbitą szybę. – To musiał być dobry szlamiarz. I pomyśleć, że rzadko który z nich zakłada do pracy rękawiczki.

– Idziemy dalej...

Dalej rozpościerał się obszerny taras z wyłamaną balustradą; to rzuciło nam się w oczy zaraz, gdy tylko weszliśmy do ogrodu – wyłamany kawałek drewnianej bariery leżał obok klombu stratowanych róż.

– Próchno – technik lekko trącił czubkiem buta obły kawałek; z wierzchu wyglądał solidnie, gładki, pociemniały dąb, wewnątrz jednak drzewo było porowate, stoczone przez czas i korniki.

Leszek, przewieszony przez krawędź, badał kamienny fryz okalający balkon tuż pod balustradą.

Wreszcie zeszliśmy na dół, technik oglądał teraz dokładnie oderwaną część drewnianej bariery.

– Czyżby skakał z balkonu? – Wydawało się to mało prawdopodobne, bo wysokość była znaczna. Dom wznosił się na podmurówce z kamiennych ciosów.

Okazało się, że taras od ziemi dzieliła przestrzeń około dziesięciu metrów.

– Mógł mieć sznur – technik opukiwał spróchniałą barierę. – Zaczepił go o poręcz i nadwątłone drzewo nie wytrzymało ciężaru.

– Przy takim upadku kontuzja pewna – zauważył Leszek.

– Według mnie on nie posługiwał się ani sznurem, ani drabinką – nie zgodziłem się z nimi. – Ogrodzenie tarasu nie wytrzymałoby ciężaru już wówczas, gdy wchodził, a przecież dostał się do środka... Miał do wyboru rynnę lub linkę odgromnika.

– Akrobata – mruknął technik.

– Wytrawny szlamiarz – Leszek miał absolutną pewność co do profesji nocnego gościa. – Dlaczego nie wracał tą samą drogą?

– Uciekał! To przecież jasne; spłoszyła go ta kobieta, uderzył ją, pewno chciał tylko ogłuszyć, aby nie krzyczała...

Cios okazał się jednak śmiertelny! – Zastanawiałem się, czy uciekając, wiedział już o tym.

Pod samym domem, w trawie, znaleźliśmy męski zegarek; dość drogi, złoty chronometr – doxa, ze skruszonym uszkiem i rozerwanym skórzanym paskiem. Zegarek stał, wskazywał dziesiątą czterdzieści – sprężyna była wyczerpana. Po nakręceniu wskazówki wznowiły swą

wędrówkę naokoło tarczy. Dziesiąta czterdzieści wieczorem czy rano? Nie było się nad czym zastanawiać, to nie znaczyło nic, nie określało żadnego interesującego nas czasu.

Pociemniały od zużycia skórzany pasek pękł przy klamerce i bardzo możliwe, że zegarek zgubił przestępcę. W takim razie ten przepocony kawałek skóry mógł mieć znaczenie dla śledztwa – zachował woń właściciela.

– Może Homo coś nam podpowie?

Syberyjski wilczur był etatowym tropicielem w komendzie dzielnicowej na Mokotowie. Psią znakomitość cechował absolutny węch, inteligencja, wytrzymałość i do tego wielka uroda. Jego przewodnik utrzymywał, że to najlepszy tropiciel nie tylko w Warszawie; pysznił się nim i przechwalał, a czasami łąał jak wędkarz, myśliwy lub brydżysta, gdy rozводził się nad zaletami i wyczynami swego psa.

Ale tym razem genialny Homo zbłądził się. Tak nam się wówczas wydawało, a przewodnik prawie to odchorował. Dopiero znacznie później mieliśmy się przekonać, że zawiodła nie inteligencja psa, lecz ludzi, którzy go nie zrozumieli.

Na razie jednak Homo, po rzetelnym obwąchaniu paska od zegarka, powiódł nas najpierw do wnętrza domu, obiegł parter, „obwęszył” piętro, następnie wypadł z willi i ruszył ulicą Kryształową, a potem krążył wśród płataniny małych uliczek willowej dzielnicy, która obsiadła skarpe. Wreszcie wydostał się w dół na teren parku Morskie Oko, ciągnął już pewnie aż do ulicy Grottgera, przebiegł ją jak rakietę, doprowadził do Belwederskiej, tam zgubił ślad, co jest w ruchliwym mieście nieuniknione i nie to niepowodzenie zaważyło na opinii Homo.

Nareszcie mogłem porozmawiać z właścicielką domu, panią Nelą Oziemkową, którą z początku zmuszony byłem potraktować szorstko, ponieważ nachalnie pchała się do pokoju, gdzie prowadziliśmy oględziny; chwytala nas za rękawy, dając ciągle przestrogi, jak mamy się obchodzić z meblami, narzekając, że porysujemy parkiet, a równocześnie nie przestając lamentować nad tragicznym wydarzeniem. Miałem niejasne wrażenie, że nie tyle zależy jej na meblach i parkiecie, ile ciekawa jest, co robimy i o czym rozmawiamy.

– Za co mnie to spotkało, panie kapitanie? – zaszlochala znowu, gdy teraz poprosiłem ją na górę; dałem jej kilka chwil na bładanie. Bardziej wydawała się wstrząśnięta tym, że nieszczęście zdarzyło się w jej domu niż samym faktem morderstwa.

Jest szatniarką w restauracji hotelu „Wodnik”, pracę skończyła o czwartej rano. Około piątej przyjechała do domu. Furtka nie była zamknięta na klucz, co ją rozgniewało, bo sądziła, że to roztrzepana i niedbająca o ludzką krwawicę lokatorka znowu zapomniła ją zamknąć; niejedną raz już się tak zdarzało. Potem zobaczyła stratowane róże i zwaloną balustradę, ale to jeszcze jej nie zaniepokoiło; pomyślała, że wiatr strącił kawałek starej i słabej bariery, która padając zgmiotła kwiaty.

W domu także nic szczególnego nie zauważyła. Wzięła kąpiel, nastawiła budzik na jedenastą i położyła się spać. Gdy wstała, postanowiła zajrzeć do lokatorki, cierpiącej na zapalenie gardła. To był drugi dzień jej choroby; miała zwolnienie lekarskie na cztery dni; gospodyni chciała zapytać, czy jej czego nie trzeba, no i przy okazji upomnieć za niezamknięcie na noc furtki. Zapukała, weszła nie czekając na zaproszenie i zobaczyła tamtą, siedzącą tak dziwnie w fotelu. W pierwszej chwili sądziła, że lokatorka zemdlala. Chwyciła ją za rękę, dłoń okazała się lodowata.

– Taka była pani pewna, że lekarz już nic jej nie pomoże?

– Zimna już była... przecież mówię wyraźnie!

Wybiegła z pokoju i zadzwoniła do pogotowia milicyjnego komendy miejskiej. To wszystko.

– Poznała pani zmarłą?

Spojrzała na mnie okiem nastroszonej kokoszki; mieliśmy dokumenty zamordowanej, a twarz jej nie była zniekształcona, w tej sytuacji pytanie było zwykłą formalnością, natomiast jej wydało się bardzo dziwne.

– Oczywiście, to jest moja lokatorka, pani Czesia.

Zmarła nazywała się Czesława Antoniak, miała czterdzieści trzy lata, była niezamężna, samotna; pracowała jako urzędniczka w dziale zaopatrzenia firmy budowlanej „Tempo”. Dane odczytaliśmy z dokumentów, a gospodyni je potwierdziła.

Jak dawno znała Czesławę Antoniak? Niecałe dwa lata. Nela Oziemkowa zamieściła w gazecie ogłoszenie o pokoju do wynajęcia i wtedy między innymi zgłosiła się Czesława Antoniak. Spodobała się gospodyni, bo wyglądała nobliwie, sprawiała wrażenie osoby kulturalnej, statecznej, no i nie bez znaczenia był fakt, że jest samotna. Antoniak zapłaciła za trzy lata z góry. Ile?

– Po osiemset złotych miesięcznie.

Znając ceny prywatnych czynszów w stolicy byłem pewny, że suma została znacznie zanizona. Nela Oziemkowa spostrzegła moje niedowierzanie.

– Wie pan, zależało mi na pieniądzach, ale i na towarzystwie... Żeby było do kogo głębę otworzyć. Smutno tak samej... No i ona płaciła gotówką za całe trzy lata, od razu na rękę kilka tysięcy złotych, a inni dawali tylko za rok i to jeszcze grymasili... Do tego w siedemdziesiątym szóstym miała mieć już własne mieszkanie, spółdzielcze...

– To jednak zależało pani na pieniądzach.

– A komu nie zależy, panie kapitanie? Dom duży, dopraszał się remontu, potrzebowałam grosza... Dopiero niedawno zdobyłam się na nowe tynki, reperację dachu i kraty w oknach na parterze, bo poprzednie, jeszcze przedwojenne, do cna rdza zżarła...

Istotnie dom był duży, wewnątrz ładnie rozplanowane; cztery pokoje na dole, kuchnia i łazienka. Na piętrze trzy pokoje i także łazienka.

Na moją prośbę, ukrywając niechęć, Oziemkowa oprowadziła mnie po mieszkaniu; lśniące, jakby dopiero co froterowane parkiety, trochę antyków – nie jestem pewien, czy autentycznych, nie znam się na tym; zresztą nie było to wówczas istotne – dywany, ciężkie story w oknach i nastrojowe lampy. Na ścianach trochę angielskich sztychów, reprodukcje impresjonistów. Dziwne gusty jak na szatniarkę – pomyślałem mimochodem. Pedantyczny porządek sprawiał, że pokoje robiły wrażenie niezamieszkanego i tylko kłócił się z tym zapach, bardzo lekka, ale przecież wyczuwalna woń terpentyny, dymu aromatycznych papierosów i zwietrzałych perfum czy innych kosmetyków.

– Pewno pan pomyślał, siedzi baba na takim metrażu jak pies na sianie, sama nie wykorzysta i drugiemu nie da, a ludzie na klitki latami czekają – przejrzała mnie pani Nela.

– To pani sprawa – wzruszyłem ramionami.

– ...ale ten dom ma jeszcze dwóch właścicieli, a tak! Ja i dwaj kuzyni otrzymaliśmy go w spadku. Mury, a także ogród i nawet meble do podziału na troje. Oni teraz po zagranicach pracują, jak kontrakty im się pokończą i wrócą, będziemy dzielić.

– Nie chcieli wynająć? – zdziwiło mnie to; na ogół osoby wyjeżdżające na dłużej za granicę wynajmują nie tylko komfortowe wille, ale i skromne kawalerki; nikt nie rezygnuje z dodatkowego i wcale niemałego dochodu.

– Ale tam, pewno, że chcieli, ale jakoś tak... Jak im kandydat pasował, to mnie się nie podobał i na odwrót.

– Na tę lokatorkę wszyscy się zgodzili?

– To co innego, ja byłem na miejscu, nie tak jak oni i baczenie mogłam zawsze mieć, a widzi pan, co mnie spotkało! Gorzej niż taki, co brudzi, płaci w kratkę i wyprowadzić się nie chce... Ale ja się co do niej omyliłam, srodze się zawiodłam na tej kobiecie, świeć Panie nad jej duszą, o nieboszczykach nie powinno się źle mówić.

– Przecież zapłaciła za trzy lata z góry.

– Zapłaciła, zapłaciła!... Ale to była, niech jej ziemia lekką będzie, niestateczna osoba, ot co!

– W czym się to wyrażało?

- Mężczyzn lubiła!
- Raczej naturalne...
- Pan kapitan sobie żartuje, a mnie wcale nie do śmiechu... Kobieta z niej przecie nie pierwszej młodości, siwy włos na skroni, a ona nie raz, nie dwa chłopaczków sobie sprowadzała... Et! Mówić wstyd. Ja wyrozumienie mam, też sama jestem i wiem, jak samej kobiecie smutno jest żyć, we dwoje to i stękać łżej, jak się to mówi... Niechby się jednego trzymała, wiekiem i kondycją odpowiedniego, ale gdzie tam. Jak ten motylek kapustnik i to z kim? Z kudłatymi wałkoniami... I doigrała się, nic tylko któryś z tych hipisów tak ją urządził. Możliwe, że z zazdrości, a możliwe, że dla rabunku, na tę nędzę połakomił się... Jak już panu mówiłam, szatniarką w restauracji jestem od lat, a to nawet nie ES, tylko SPEC-kategoria, uważa pan? Spec! To ja się tam na tych perwersiaków napatrzę...
- Ona tam przychodziła?
- Ale, co też pan! Nie stać ją było na taki szyk, bo z czego? A te kochance to też z fundowaniem się nie kwapiły. Uczciwszy uszy, na wyro do niej, to tak, ale do speclokalu pieniądz wydać, to bynajmniej. Ja panu tylko taki przykład dałam, że do niej podobne do tamtych hotelowych startowały.
- Znała ich pani?

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI